

Potęga mitów. Gwiazda betlejemską

24 grudnia 2015

Zawsze z okazji świąt czytam takie same lub podobne artykuły w różnych gazetach, których zadaniem jest „naukowa” podbudowa bożonarodzeniowych legend. Stałym i co roku ponawianym tematem jest owa „gwiazda betlejemską”, prowadząca Trzech Króli do miejsca urodzin dzieciątka Jezus. Jak zatem wygląda „uwiarygodnienie naukowe” tego tajemniczego zjawiska? (Zresztą wbrew samej Biblii, gdzie w przypisach wyraźnie napisano: „Ewangelista ma na myśli nadzwyczajne jakieś zjawisko, dlatego daremne są wszystkie próby naturalnego wytłumaczenia”.)

Pierwsze i zarazem najbardziej popularne wytłumaczenie, to kometa, chociaż żadna z tych bardziej znanych, których czas pojawienia się w pobliżu Ziemi można już dokładnie obliczyć. A więc nie kometa. Drugie wytłumaczenie, to koniunkcja: zbliżenie do siebie (oczywiście tylko wizualne, z perspektywy ziemskiego obserwatora) dwóch albo i trzech planet, które to koniunkcje także czasowo nie bardzo zgadzają się z hipotetyczną datą urodzin przyszłego Mesjasza. No i nie przemieszczają się dość szybko po niebie, zatem też raczej nie. Jakie więc astronomiczne zjawisko miał na myśli ewangelista Mateusz?

Ci wszyscy „uczeni w Piśmie” (czyli jak dzisiaj powiedzielibyśmy: bibliści i historycy starożytności), którzy od dawna rozpisują się na ten temat (albo są cytowani), chyba musieli nie czytać prof. Krawczuka, który już wiele lat temu stwierdził, iż nie było „specjalnej” gwiazdy na niebie, chyba, że... w wyobraźni ludzkiej. Bowiem świadomość ludzi tamtych czasów (wygląda na to, że obecnych też), domagała się cudownego znaku z nieba, potwierdzającego nadprzyrodzoność jakiegś wybranej postaci, w tym przypadku Jezusa. Inaczej mówiąc; niebo musiało uwiarygodnić jakimś czytelnym znakiem,

że ta postać jest tym za kogo się podaje (a raczej za kogo się ją bierze). I tylko tyle!

Wystarczy bowiem uważnie wczytać się w zapis z ewangelii, dotyczący tego tajemniczego zjawiska: „A oto gwiazda, którą widzieli na Wschodzie, szła przed nimi, aż przyszła i zatrzymała się nad miejscem, gdzie było Dziecię” (Mt 2,9), aby stwierdzić, iż jest ono produktem bogatej wyobraźni ludzkiej. Czy słyszał ktoś o gwieździe (komecie, koniunkcji), która poruszałaby się na niebie z szybkością karawany, by potem zatrzymać się nad miejscem urodzin dzieciątka Jezus? Jeszcze lepiej bajkowość tej opowieści widać w Apokryfach „Nowego testamentu”, gdzie w „Ewangelii gruzińskiej” tak to przedstawiono: „A w tym samym dniu ukazała się w Indiach gwiazda, podobna do księżyca w pełni, zaś na księżycu tym siedziała czternastoletnia panna podobna do słońca i trzymała na rękach chłopczyka mającego jeden dzień życia. Gwiazda ta była widoczna w ciągu dnia i nocy, lecz poza Indiami nigdy nikt jej nie widział”.

Zaiste, bardzo ciekawe! Gwiazda o wyglądzie i wielkości księżyca w pełni, to musiało być bardzo, bardzo rzadkie zjawisko. A jeszcze ta siedząca na niej panna czternastoletnia z jednodniowym dzieciąciem na rękach. Jakaż musiała być imponująca ostrość tego obrazu, skoro można było określić nie tylko wiek owej panny, ale też jej dziecięcia?! Niesłychane! Szkoda tylko, że tego nadprzyrodzonego zjawiska nie oglądał nikt i nigdy poza Indiami.

Potem w tejże „Ewangelii gruzińskiej” jest opis, jak to każdy z trzech królów zebrał po 4000 księży i po 4000 ludu i wyruszył, by oddać hołd dzieciątku Jezus „gwiazda zaś wskazywała im drogę (...) wreszcie dotarli trzej ci królowie wraz z 12 000 ludu do Jerozolimy (a gdzie się podziało 12 000 księży? Pytanie moje), spędziwszy w podróży 7 i pół miesiąca. Tam się zatrzymali; gwiazda zaś schowała się przed nimi, gdyż Chrystus się jeszcze nie narodził”.

Ta przymusowa przerwa w podróży trwała „dopóty, dopóki nie ukazała im się gwiazda, która przedtem była niewidzialna. Wtedy oni udali się w drogę, a gwiazda szła naprzód”. Tak było do czasu, aż „gwiazda, która prowadziła królów zatrzymała się nad skałą, gdzie znajdowało się dziecko, wtedy poznali oni, że tam właśnie narodził się Chrystus”. No, proszę; oprócz przewodnictwa nawet czasowe „zgranie się” im zapewniała. Co za precyzja przestrzenno-czasowa! Choć może nie do końca, skoro półtora miesiąca przybyliby przed czasem, gdyby się im owa gwiazda celowo nie schowała!

Powracając zaś do głównego wątku; jak wyjaśnić realność gwiazdy (to pytanie do tych, którzy starają się tłumaczyć te legendy, naturalnymi zjawiskami; przyrodniczymi czy jak w tym przypadku, astronomicznymi), która idzie przed karawaną, potem znika na jakiś czas, by potem znów się pojawić i kontynuować swą wędrówkę, abywreszcie zatrzymać się na nieboskłonie nad konkretnym miejscem na Ziemi i to na tyle nisko, aby nie było żadnych wątpliwości, iż to właśnie o to, a nie o inne miejsce chodzi?

Zastanawia mnie, na jakiej ona musiałaby być wysokości, by wskazać konkretny budynek lub skałę? (bo są dwie wersje dotyczące miejsca narodzin Jezusa). Nawiasem mówiąc, ze zjawisk astronomicznych tylko meteoryt może dokładnie „wskazać” konkretne miejsce na ziemi, spadając z wysokości z impetem na nie. Jednak meteoryt widać na niebie (właściwie ślad po nim w atmosferze) nawet nie 9 sekund, a z pewnością nie 9 miesięcy! To tylko mała dygresja.

Wracając do pytania: na jakiej wysokości powinna zatrzymać się ta gwiazda, by precyzyjnie wskazać miejsce na ziemi o powierzchni kilkunastu/kilkudziesięciu metrów kwadratowych? Czy ktoś potrafi wyobrazić sobie właściwą skałę tego zjawiska? Biorąc pod uwagę, jak wielu dorosłych wierzy w te dziecinne bajki, można przypuszczać, iż tylko nieliczni są do tego zdolni. Proponuję więc swoisty „test wyobraźni”: założmy więc, iż nie jest to kometa, ani koniunkcja, lecz jak to napisano w

Biblii, jest to gwiazda.

Wyglądałoby to mniej więcej tak: wyobraźmy wpierw sobie Układ Słoneczny w skali jeden do miliarda. Jego centralne miejsce zajmuje ognista kula Słońca, o średnicy ok. 1,4 m. W odległości 60 m od niego krąży Merkury wielkości ziarenka grochu. Nieco ponad 100 m od Słońca znajduje się Wenus, wielkości małej wisienki, a 50 m dalej krąży błękitno-zielona kuleczka Ziemi, wielkości nieco większej wiśni, z oblatującym ją w odległości 3,8 m groszkiem Księżyca.

240 m od centrum tego układu jest Mars – duże ziarno grochu – potem pas asteroid, a w odległości $\frac{3}{4}$ km majestatycznie płynie Jowisz wielkości dużej pomarańczy, z plejadą własnych księżyców, wyglądającą jak miniaturowy układ planetarny. Dalej nie będę wyliczał, bo to i tak nie ma znaczenia dla tego porównawczego zadania. I teraz do tego słonecznego układu w miarę stabilnego od miliardów lat, zbliża się z głębi Kosmosu gwiazda kierowana niezawodną ręką Boga (tak przynajmniej wynika z doktryny religijnej), wielkości naszego Słońca, które w skali kosmicznej jest całkiem przeciętną gwiazdą.

Mogłaby zbliżać się do nas w płaszczyźnie ekliptyki, siejąc zamieszanie pośród planet olbrzymów, albo prostopadle do niej zmierzając od razu w okolice Ziemi. Choć skutki tych odwiedzin byłyby zapewne takie same (mógłby ktoś pokusić się o stworzenie symulacji komputerowej tego zjawiska), przyjmijmy jako prostszą tę drugą wersję wydarzeń. Zatem do Ziemi wielkości wiśni zbliża się gorejąca kula ognia (ok. miliona stopni Celsjusza w koronie i 6 000 stopni na powierzchni) o średnicy ok. 1,5 m. Spora różnica wielkości, prawda?

Pytanie, które mnie frapuje jest następujące (uwzględniając właściwą proporcję tych dwóch ciał niebieskich): na jaką odległość powinna się zbliżyć owa półtorametrowa gwiazda do ziemi-wisienki, aby „wskazać” konkretne miejsce na jej powierzchni? Wypadałoby w tej skali, że na 1/1 000 mm, czyż nie? Już to widzę oczyma wyobraźni: nad kuleczką wielkości

wisienki, stykając się z nią nieomal, wisi ogromna (w porównaniu z ziemią) gorejąca kula gwiazdy, strzelając wokoło gejzerami płomieni, długości ok. 10 cm (w tej skali oczywiście).

Przypuszczam, że w rzeczywistości już dużo wcześniej Ziemia pomknęłaby na jej spotkanie po spiralnym torze, aby wyparować w jej koronie, a opalone resztki utopić w bezdennym oceanie ognia (około miliona globów ziemskich mogłoby zmieścić się w kuli o średnicy Słońca). Ale to tak gwoździ ścisłości. Powtórzę zatem pytanie: na jaką odległość powinna się zbliżyć owa gwiazda do Ziemi, aby „wskazać” na niej konkretne i bardzo niewielkie miejsce? A jednocześnie nie spalić żywcem całego życia na Ziemi i nie zniszczyć przy okazji całego Układu Słonecznego?

Bowiem te dwa słońca stałyby się zapewne gwiazdą podwójną, krążącą wokół wspólnego środka grawitacji, a planety powciągałyby w siebie, przynajmniej do Marsa włącznie. Wizualny efekt tego zbliżenia byłby taki, że prawie wszyscy mieszkańcy Ziemi (zakładając, że jakimś cudem przeżyliby to pandemonium), widzieliby nad sobą, w bliższej i dalszej odległości, gorejącą powierzchnię gwiazdy, wyrzucającą gejzery atomowego ognia z jej wnętrza, spalające wszystko na swojej drodze, topiąc i wyparowując w mgnieniu oka nawet skały. Do czego można by to porównać? Do ciągłego wybuchu bomb termojądrowych rozmieszczonych niedaleko siebie na całej powierzchni Ziemi? Jeśli nie czegoś znacznie bardziej apokaliptycznego.

Przerażeni tą piekielną wizją zapewne stwierdzą, że jednak musiała to być kometa, która nie narobiłaby takich niewyobrażalnie wielkich szkód na Ziemi. Niechby to była i kometka nawet (a są to miliony, jeśli nie miliardy ton lodu i odłamków skał), to przy takim zbliżeniu do Ziemi, musiałaby w nią uderzyć, bez dwóch zdań! A więc nie dane byłoby pasterzom, a przy okazji 90% gatunkom zwierząt, komukolwiek głosić Dobrej Nowiny o narodzinach Pana, bo wyparowaliby w ułamku sekundy

razem ze swymi stadami, dzieciątkiem Jezus i jego świętą rodziną, jak i przybyłymi doń trzema królami. Tak mniej więcej musiałoby to wyglądać. Tym bardziej, że komety zazwyczaj też nie stają na nieboskłonie w miejscu na zawołanie, nawet w tak ważnych dla ludzi okolicznościach.

Ach ten „nasz Bóg”! Zamiast robić tyle zamieszania tym niewiarygodnym cudem (bo musiał to być cud na miarę zatrzymania Słońca na swej orbicie, aby przedłużyć dzień na Ziemi), mógł po prostu zaopatrzyć trzech króli w dokładne mapy tamtego regionu, które byłyby dzisiaj jedną z najcenniejszych relikwii chrześcijaństwa... i byłoby po kłopotcie. A tak śmiech tylko bierze, kiedy człowiek to czyta i uświadamia sobie jak wielka jest łatwowierność ludzka, iż bierze się takie bajki za prawdę i nawet próbuje się je podbudowywać „naukowo”, w dwadzieścia wieków później!

Bo niezależnie od tego w jaki sposób chcielibyśmy uwiarygodniać tę religijną legendę bożonarodzeniową, to nie da się niestety wskazać piłką mikroskopijnego miejsca na ziarnku maku, obojętnie w jaki sposób by ją do niego zbliżać i przykładać. A taka jest właśnie proporcja wielkości Ziemi do niewielkiej nawet gwiazdy. Tyle, że kiedyś ludzie nie zdawali sobie z tego sprawy, jak i z wielu innych aspektów naszej rzeczywistości. Któż z ówczesnych ludzi mógł wtedy przypuszczać, że te maleńkie świecące punkciki na nocnym niebie, są w istocie gigantycznymi kulami ognia, miliony razy większe od naszej Ziemi – skoro nie był nawet tego świadomy „nasz Bóg”, który w jednej z ewangelii, takimi słowami straszył swoich bliźnich: „Zaraz też po ucisku owych dni słońce się zaćmi i księżyc nie da swego blasku; gwiazdy zaczną padać z nieba i moce niebios zostaną wstrząśnięte” (Mt 24,29).

A wtórowali mu „natchnieni” autorzy Apokalipsy św.Jana: „I gwiazdy spadły z nieba na ziemię (...) i spadła z nieba wielka gwiazda, płonąca jak pochodnia (...) i ujrzałem gwiazdę, która spadła z nieba na ziemię” (Ap 6,13. 8,10. 9,1). Dlatego dzisiaj ten rodzaj twórczości można śmiało „między bajki

włożyć", jako budujące przykłady ludzkiej nieposkromionej wyobraźni, nie popartej odpowiednią wiedzą astronomiczną.

Autorstwo: Lucjan Ferus

Źródło: ListyzNaszegoSadu.pl